



sonia raduńska  
białe zeszyty



Sonia Raduńska  
psycholog, publikowała  
felietony w „Zwierciadle”.  
*Białe zeszyty*, wydane  
po raz pierwszy w 1997 roku,  
to jej debiutancka książka.



SERIA Z MIOTŁA

SERIA Z MIOTŁĄ



Christine Angot  
*Kazirodztwo*

Melania Mazzucco  
*Tak ukochana*

Marsha Mehran  
*Zupa z granatów*

Halina Pawłowska  
*Zdesperowane kobiety  
postępują desperacko*

Grażyna Plebanek  
*Dziewczyny z Portofino*

Grażyna Plebanek  
*Pudełko ze szpilkami*

Ena Lucía Portela  
*Sto butelek na ścianie*

Ahdaf Soueif  
*Mapa miłości*

sonia raduńska

białe zeszyty



## zeszyt pierwszy

*Boże, spraw, żebym nie tylko patrzyła, ale i widziała.  
Żebym słyszała, a nie tylko słuchała.  
Żebym była uczciwa w tym moim pisaniu.*

8. 10. 89

Niby rozumiałam słowo „współczucie”, ale dotknęło mnie ono – czy też przedarło się głębiej – dopiero teraz. Co ktoś może poradzić na to, że jest okropny? Trzeba się nad nim – ze współczuciem właśnie – pochylić, bo ma ciężką karmę. Tym cięższą, im jest paskudniejszy. I jeszcze zapracowuje sobie na trudny ciąg dalszy.

Z lektur:

*Lęk przed rozczarowywaniem. Nauczyła się wstrzymać silne uczucia i czekać, dopóki nie odkryje, czego chcą inni.*

*Rany zadane jej przez ojca polegały na niedostrzeganiu lub nieakceptowaniu normalnej, negatywnej strony jej natury. Kara polegała na okazywaniu rozczarowania czy delikatnym strofowaniu.*

Ta delikatność była podstępna – sprawiała, że tłumiałam wszelkie impulsy, które mogłyby prowadzić do rozczarowania ojca.

Mój podstawowy scenariusz: dobra, grzeczna dziewczynka. Bycie sobą tylko w samotności. Martwota, sztuczność, lęk przed odkrywaniem się w osobistym kontakcie. Tym większy, im większa zależność emocjonalna.

9. 10. 89

Zachowania asertywne – tak, z wyjątkiem klasy: „mężczyźni, na których mi zależy”.

28. 10. 89

Dzisiejszy wieczór pełen niepokoju. I chęci ucieczki. Telewizor, lista przebojów, składanie imieninowych życzeń przez telefon, próba czytania, nadzieja (z jednoczesną niechęcią), że może ktoś mnie gdzieś zaprosi i pomoże zgubić ten niepokój. Stoję – chyba – w pobliżu czarnej dziury i chwytam się różnych niezbyt pomocnych sposobów, żeby od niej uciec. Wszystko, co robię, jest „mimo”. Popędzam czas, żeby dać sobie prawo do pójścia do łóżka (sobota, nie można zbyt wcześnie).

Łatwo być w nurcie, gdy jest on pogodny.

Mam wrażenie, że mój Tata był osobą nie z tego świata. Ze swoją uśmiechniętą dzielnością, bezbronny. Również słabo przygotowany do spotkania z czarną dziurą.

23. 03. 90

Z listu do Krzysztofa:

*...Przez 20 lat miałam dość czasu, żeby nauczyć się, jakim jesteś człowiekiem (że dalekim), i jeśli robiłam sobie jeszcze jakiegokolwiek złudzenia (że jest lub może być z Tobą inaczej), to z powodu mojej naiwności (głupoty) i niskiej wyuczalności.*

*Nie chcę się już łudzić.*

*Chcę zmienić swoje życie.*

*Nie chcę już więcej robić tego, co nie jest dla mnie dobre. Chcę zrewidować różne warunkujące mnie: „powinnam”, „należy”, „trzeba”, „wypada”.*

*...Jest we mnie dużo złości o to, że arbitralnie przyznajesz sobie największe prawa i najmniejsze obowiązki w naszej rodzinie... Dzieci widzą, że to niesprawiedliwe, a mnie często jest przed nimi wstyd. Za Ciebie i za siebie – że pozostając z Tobą, przyzwalam na ten stan rzeczy.*

*Jest we mnie myśl – pragnienie, żeby się z Tobą rozstać. Moje bycie z Tobą – takim (praca – telewizja – gazeta – samochód – zręczliwość – brak rozwoju) – sprawia, że często czuję się napięta, zła, samotna, smutna, głupia. Wydaje mi się, że marnuję dar życia, że zamieniam dobrą energię na złą.*

*Może spróbowalibyśmy tymczasowo się rozstać?... Oczywiście, dzieci. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że one Cię kochają. Nie mniej niż mnie... Ale dzieci mogą bardziej mieć ojca, który mieszka osobno. Teraz, choć w jednym domu, nie mają do Ciebie dostępu.*

*Cieszę się, że do Ciebie napisałam.*

*Trochę mi łatwiej teraz lubić Ciebie i siebie. Sonia*

23. 10. 93

Z listu do Zosi:

*Już przeszło osiem miesięcy jestem bez Krzysztofa. Wciąż żal mi, iż zginął w tym wypadku, ale nie brakuje mi go i nie tęsknię za nim. Boże, chcę to wreszcie napisać! Jest mi teraz lepiej niż wtedy, kiedy byłam z Krzyśkiem. Tak. Jestem spokojniejsza, żywsza i radośniejsza, w dużo większej harmonii ze sobą i światem.*

*...Uśmiecham się, chociaż jestem w domu zupełnie sama. Często ostatnio zdarza mi się uśmiech do lustra, do chmur, do Boga i nieznanomych ludzi mijanych na ulicy.*

*Zwariowałam? Czemu czuję się taka szczęśliwa?*

*W dodatku dwa miesiące temu umarł mój Ojciec – kto wie, czy nie najbliższy mi człowiek na świecie, mój Mistrz. Żył z niespotykaną harmonijną prostotą. Umierał heroicznie. Towarzyszyłam Mu do końca, dzień po dniu. Pamiętam, że o istocie choroby Taty i o rokowaniach lekarka powiedziała mi pomiędzy śmiercią a pogrzebem Krzysztofa. Skorzystała z mojego znieczulenia – chyba słusznie. Przez ostatnie dwa lata, od odejścia Mamy, a szczególnie przez te pół roku między śmiercią Krzysztofa i Ojca aura choroby i śmierci dominowała w moim życiu.*

*Rzeczywistość umierania była dla mnie realniejsza niż sprawy życia. Może stąd teraz to dzikie odbicie w drugą stronę i pazerność na wszelkie jego przejawy? Nie wszystkie, prawdę mówiąc. Nie ma w moim życiu mężczyzny ani miłości erotycznej, ani seksu. Nie tęsknię za tym świadomie, nie szukam, ale czuję ten kawałek siebie, który być może jest przejawem gotowości. Czasem jest mi cudownie i w tym stanie wypijam kieliszek wina lub*

koniaku, żeby – co? – jeszcze uczudownić?! I już po chwili wiem, że niepotrzebnie, że teraz jest gorzej, a nie lepiej.

Paradoks: jestem sama i czuję się szczęśliwa. Co by się stało, gdybym się zakochała, gdyby pojawił się mężczyzna? Spekulacje – a i tak będzie, co będzie. Na pewno jednak nie wyobrażam sobie mieszkania pod jednym dachem z jakimś facetem.

Dużo więcej Ci na ten temat napisałam, niż kiedykolwiek myślę.

Mój Tatuś poszedł – wiem – prosto do Nieba i siedzi przy samym Boskim tronie. Zadbął o to, żebym – wypłakawszy się na pogrzebie – była potem spokojna i cieszyła się życiem. Myślę, że za Jego namową Bóg zdjął ze mnie ciężar i powiedział: „A teraz odpocznij sobie, kochane dziecko, i pobiegaj”.

I ja to właśnie robię.

Jestem dla siebie bardzo życzliwa.

Trzeciego września przestałam palić. Chodzę do teatru i na dobre filmy. Raz w tygodniu biorę godzinny masaż (nie tak cudny jak w Twoim wykonaniu, ale nie mogę od tej pani żądać, żeby mnie kochała). Słucham Mozartą, Preisnera, Vangelisa, Bacha. Czytam. Uśmiecham się do dzieci. Smażę im naleśniki i staram się być z nimi. Medytuję. Spotykam się z ludźmi, których lubię. Ćwiczę codziennie pięć rytuałów himalajskich. Łykam magnez i witaminy. Trochę próbuję uczyć się języków. Dwa razy w tygodniu ćwiczę jogę. Zrobiłam remont w mieszkaniu – każde z nas ma teraz swój pokój i dobrze się tu czujemy.

Kiedy piszę do Ciebie, widzę morze na horyzoncie – lubię to. Chce mi się śpiewać hymn na cześć życia. Bez większych przerw trwam w modlitwie dziękczynnej.

*Dzięki Krzyškowi nie mamy problemów finansowych. Myślę o nim z miłością. Jego życie było ciche, nieabsorbujące innych, śmierć dyskretna i niekłopotliwa, a nieobecność znów cicha i niezakłócająca niczyjego spokoju. Pod tym względem On też jest moim guru.*

*Życzę Mu, żeby dobrze odpoczął na ławkach niebieskich, a w następnym życiu był szczęśliwym, pełnym miłości człowiekiem.*

4. 01. 94

Wzięłam sobie urlop do połowy lutego (do dnia, w którym przypada rocznica śmierci Krzysztofa), żeby móc się w samotności odnaleźć. Dziś drugie moje samotne przedpołudnie. Jestem szczęśliwa. Słyszę – czuję bicie serca świata. I jestem w kontakcie ze sobą.

Przed chwilą, jedząc śniadanie, nie mogłam doczekać się chwili, kiedy siądę z długopisem i zacznę pisać w tym zeszycie. W czasie medytacji umówiłam się ze sobą, że dziś dam się ponieść temu, co ze mnie wypłynie. Wolnym skojarzeniom. Choć to nie ma być „pismo automatyczne” – jak w przypadku Oli, której zdarza się, że pisze pod dyktando – jej zdaniem – Jezusa. Ja na razie zbyt jestem zaabsorbowana sobą, żeby mieć miejsce na Jezusa czy Ducha Świętego. Bardzo jest jednak dla mnie pociągające to, czego Ola mi życzy: żebym – przez wyobrażenie, że Jezus bierze mnie w ramiona, tuli i gładzi łagodniej i czulej niż najtroskliwsza matka – poczuła, jak On mnie kocha. I żebym oddała Mu swoje serce. Chcę tego, ale

nie wiem, jak miałabym to zrobić. Wierzę (Ola też tak mówi), że odpowiedź przyjdzie do mnie, jeśli tylko naprawdę będę pytać. Przyjdzie z olśnienia w medytacji, znikąd, z którejś książki, może we śnie?

11. 01. 94

Za miesiąc minie rok od śmierci Krzyśka. Dziś zdałam sobie sprawę, że łatwiej mi teraz nie palić. I że – może bardziej niż kiedykolwiek przedtem – mam swoje terytorium, w większym niż dawniej stopniu o nim decyduję i nie muszę używać dymu papierosowego, żeby się odgrodzić, zasłonić...

Siadłam dziś do porannej, urlopowej medytacji z czymś, co nazywam niskim ciśnieniem, a co jest odczuciem pewnej nieostrości, „tumanem” w głowie. Wcześniej próbowałam ignorować ten swój stan i ambitnie czytać *Miłość niemiłowaną* księdza Tischnera (choć wiem – chyba? – że czytanie „lektury duchowej” bez dobrej koncentracji nie ma sensu, bo oczy są odłączone od rozumu i serca; w takim stanie można oglądać obrazki lub czytać plotki „o paniach i panach”).

Jednak siadłam na poduszce, nie czując ani poduszki, ani tyłka, nie wiedząc, że oddycham, płacząc się w chaosie liczb, myśli i obrazów. Zniesmaczona, postanowiłam potrwać w takim stanie jeszcze trochę (żeby odwalić nałożony na siebie obowiązek codziennej medytacji), czując, że nie mogę zapanować nad tym bałaganem.

W pewnym momencie zamknęłam oczy i zwróciłam się do Boga, wiedząc już, że nie potrafię się dziś skupić: „Boże, daję Ci ten mój bałagan, jestem bezradna”. I w tym momencie stał się cud. Nagle w głowie i we mnie całej zapanował zupełny spokój i swobodna, niewypracowana (a więc łaskawa) koncentracja. I trwałam sobie w niej ze spokojną pogodą. W takich momentach wypełnia mnie wdzięczność za to, że jestem.

17. 01. 94, rano

Właśnie się obudziłam. Przed chwilą śnił mi się Krzysztof. Powiedział: „Wiem, że rzadko to okazywałem, ale Was kocham”. Był przy tym bardzo ludzki, głęboki, odsłonięty.

Wstrząsnęło mną to zdanie o miłości.

Czuję, że Krzysztof pracuje nad swoim rozwojem, że jego „teraz” bywa również znojnym borykaniem się.

Jestem świeżo po zajęciach z Z.K., na których próbujemy uwrażliwiać i rozwijać funkcje prawej półkuli mózgu. Grupa składa się z samych pięknych osób. Z. jest spokojnym, zrównoważonym, mądrym mężczyzną, którego obecność wprowadza dobrą atmosferę. Z nim jest znacznie lepiej niż bez niego, a przy tym nie ubywa dobrej samotności. Nikt z tej grupy nie kaleczy mojej osobności, nikt mi w niej nie przeszkadza, a przy tym wszyscy mają dla mnie (i dla każdego innego) otwarte serca.

Kiedy opowiadaliśmy o wizualizacjach na temat własnej osobowości – słuchałam w uniesieniu i zachwycie, ile w nich poezji, mądrości, piękna. I – wierzę – każdy człowiek jest do tego zdolny. Gdyby wszyscy sięgnęli do swojej wewnętrznej poezji, świat znów stałby się rajem.

Zachwyca mnie też, że moja poezja, moje obrazy tworzą się samoistnie. Ja ich nie rodzę, jestem tylko przy tym porodzie uważnie obecna.

Zobaczyłam serce. Lub inaczej: zobaczyłam żywe, tętniące, ciepłe, gładkie, ciemne coś, co najbardziej przypominało otwarte ludzkie serce, na którym odbywa się operacja chirurgiczna. Towarzyszyła temu pewność, że to jest serce. Coś cennego. Kruchego. Jego tętnienie było nierówne, chwilami prawie niewidoczne. To było jednak żywe serce – miłość. *Pestka* (Anki Kowalskiej) – miłość. Jakoś o tym wiedziałam, a przecież teraz wiem jeszcze lepiej.

Trudno dotrzeć do otwartego serca. Do mojego otwartego serca. Pamiętam odczucie nagości i bezbronności, kiedy kochając, odsłoniłam je.

W życiu przeważnie osłaniam się „płaszczem niewidkiem”, który skrywa mnie przed większością ludzi.

Nawet sama rzadko obcuje z Sercem. Może jeszcze za mało pasywności. Nawet najmądrzejszą aktywnością nie można zapracować na łaskę. Łaskę się dostaje. Za nic. Z woli Boga. Ja po śmierci Taty dostałam łaskę radości i spokoju. Dar darmo dany – tak najwierniej definiuje łaskę ksiądz Tischner. Dar darmo dany.

Wewnętrzny okiem widzę ciemny kolor mojego serca. Czy ono trwa w ciemności? Słabo odżywione? Co może być krwią i tlenem dla mojego serca – pestki mnie samej?

20. 01. 94

Dziś od rana boli mnie dusza. Depresja? Tak mi się zdaje. Co to dla mnie znaczy? Ciężki splot słoneczny. Ciężkie serce. Ciemne myśli. Lęk. Katastrofizm. Ucieczka w sen. Opuszczone kąciki ust. Obwiniające myśli. Smutek. Pragnienie znieczulenia – tęsknota za papierosem, kieliszkiem brandy. Trzymanie się domu, fotela pod lampą, próby czytania, choć brak do tego koncentracji i ochoty. Tylko czas – ten czas tak wymarzony, upragniony – przecieka przez palce. Tęsknota za samotnością. Ale kiedy ona już jest, a nie ma pewności, gdzie są dzieci – niepokój. Powierzchnowy kontakt z ludźmi – jakby z przymusu.

Poszłam do kiosku, kupiłam papierosy, wypaliłam jednego. Mała dziewczynka wtuliła smutną twarz w sweterek Mamusi, która sobie poszła, a tu taka samotność. Boże, miej mnie w Swojej opiece. Czytam na górze strony: bardzo ciemny kolor serca. Moje serce jest ciemne i ledwie tętni.

Głowa podsuwa mi temat i wyjaśnia przyczynę (?) mojego smutku. Jacek. Jak to mnie boli. Bardzo się o niego martwię. Tyle agresji od niego odbieram.

Na dworze ziąb, wiatr, deszcz ze śniegiem. Proszę: weź chociaż szalik i czapkę, skoro upierasz się, żeby na cienką koszulę włożyć letnią kurtkę. Ostentacyjna odmowa. Jakby celowo „szedł w chorobę”, przeciwko mnie. Jak mam sobie z tym radzić? Wrażenie rozpadania się, totalnej destrukcji tego, w co inwestowałam wysiłek moich ostatnich lat. Co zrobić, żeby mój syn nie był wypełniony ciemnością, frustracją, agresją? Co zrobić, żeby moja córka nie przeżywała pragnienia śmierci? Jak mam ich kochać i jak mam im tę miłość okazywać? Co jest w moich rękach, a co tylko w Twoich, Boże? Panie, chroń moje serce i serca moich dzieci i napełnij je miłością. Spraw, żeby nasze serca umiały się porozumiewać. Nie chcę, żebyśmy, żyjąc, pogrążali się w śmierci. Mamusiu, Tatusiu i inni święci – wesprzyjcie moją prośbę przed Bogiem. Potrzebuję pomocy. Proszę o ratunek.

21. 01. 94

Pisząc wcześniej, byłam rzeczywiście w wielkim, ciemnym dole. Pojechałam do centrum i mimo słabości ciała (często „dół” obejmuje również ciało) załatwiałam sprawy, zrobiłam także zakupy w sklepie, który bardzo lubię. Kupiłam orzechy, migdały, żółtą paprykę, krakersy, sezamki, ptasie mleczko, delicje, twaróg, rokfor, mozzarellę, węgierskie salami, schab, szynkową, kopytka i wędzonego pstrąga. Nawet wtedy, gdy to wymieniam, czuję się komfortowo i myślę z wdzięcznością o Krzychu, bo to dzięki niemu mamy za co żyć. Na deser kupiłam sobie

książkę *Zen i sztuka oporządzania motocykla* i wracając do domu autobusami, zaczęłam ją czytać, stwierdzając z radością, że spotkałam pokrewną duszę.

Wieczorem odwiedziła mnie Teresa. Choruje – chyba na serce, lekarze nie wiedzą. Czasem czuje się bardzo źle, ale jestem przekonana, że ta choroba nie zagraża jej życiu, jest raczej pomrukiem wulkanu, towarzyszącym rozwojowi. Jadłyśmy zrobioną przeze mnie galaretkę z nówek z cytryną, bułkę z masłem i sałatkę z kapusty pekińskiej z paprykami i rokofolem, piłyśmy herbatę i winiak. Paliły się lampki na choince, rozmawiałyśmy o nas, naszym widzeniu świata i ludzi i ogromnie byłyśmy w tym sobie bliskie. Z Teresą czuję się dobrze i wcale nie muszę się o to starać.

Tak. Jest kilku ludzi, z którymi czuję się jak u źródła. Jak wtedy, kiedy jest mi dobrze samej. Jakieś migotanie świateł. Jakiś przelatujący anioł. Brak wysiłku i harmonia. Wspólna fala.

Niestety, wśród bliskich są i tacy, z którymi wspólna fala nie zdarza się nigdy. Ci ludzie mnie boją. Boli brak naturalnej łatwości, szczerości, chociaż tak bardzo by się chciało. Coś haczy. Chcę być blisko, bo to przecież najbliższy człowiek, a ciało napręża się i odpycha. To straszne napięcie, jakie często przeżywałam, będąc w jednym pokoju z Krzychem – aż bolało. Napięcie, niepokój i konflikt. Głowa mówi: „chcę”, a emocje z hałasem grają sygnał do odwrotu. Nie zawsze, oczywiście, ale bywa tak, bywa. Czasem

i tu przeleci anioł, ale w ślad za nim podąża jakieś „złe”. To jest mój tragizm bycia z ludźmi.

Przy tym mam świadomość, że niekiedy jest mi tak również z samą sobą. Kiedy? Pewnie gdy głowa nie jest w zgodzie z ciałem i emocjami. Kiedy coś zakłamuję.

27. 01. 94

Czy ego, moje małe Ja, jest zainteresowane poszerzaniem sfery świadomej? Drogą w kierunku integracji z Wielkim Ja? Myślę, że ego ma interes w czymś wprost przeciwnym. Przychodzi mi na myśl Stachura. Czasem podejrzewam, że Sted „zwarłował”, bo znalazł się zbyt blisko Boga, zbyt blisko Prawdy. Owoc z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego? Czy Bóg nadal zazdrośnie strzeże go dla siebie? Czy więc wola, jaką obdarzony został człowiek, jest naprawdę wolna? Mamy szukać Prawdy, ale nie wolno nam jej znaleźć? Czy Prawdą jest pokora, stwierdzenie własnej małości?

Pałę. Kolejny rok życia dowiódł, że w nałogu nie można trochę, czasem... Bo palenie to nie jest czynność ręki i ust; ono obejmuje całe ciało, myśli i uwagę. Zniewała.

Palenie odsuwa mnie ode mnie, od głębokiej samotności z sobą samą. Spłyca, rozmywa, odciąga, zadymia.

Jeśli towarzyszy mu – a jest tak często – oszukiwanie otoczenia, pojawia się złudzenie „dziania się”, jakaś emocja, jakieś sztuczne przełamywanie mono-

tonii. Jak fatamorgana na pustyni. Dla mnie palenie jest z pewnością kołem ratunkowym. Jak trafnie podpowiedział mi autor *Psychologii niebieskiego dymu*: bezpieczny świat mojego dziecięcego domu pachniał dymem papierosów. Palili oboje rodzice. Chwytałem się więc tego papierosa jak maminej spódnicy, kiedy się boję, kiedy cierpię, kiedy czuję niepewność czy bezradność. Świta mi teraz myśl, że mogłabym papierosa zastąpić przyjaciółką, rozmową, spotkaniem. Teoretycznie tak, ale w praktyce bardzo mi trudno przestać być niezależną od ludzi Zosią samosią.

4. 02. 94, piątek

Siedzę przy biurku i co chwila przenoszę wzrok za okno, ciesząc się widokiem. Spadło dziś trochę śniegu, więc ziemia jest biała, a zachmurzone niebo i widoczny skrawek morza w tym szczególnym, *blue marine* – granatowym kolorze. W domach zapala się coraz więcej świateł, wyraźnie też widać sygnały latarni morskiej.

Czym jest moja samotność? Chlebem z masłem, za którym tęskni się wśród bułeczek z szynką i kawiozem. Spokojem (choć nie zawsze, ale w samotności najłatwiej jednak harmonizuję energię). Warunkiem dokładnego poczucia i spokojnego pomyślenia. Łąką do spotkania z Bogiem.

Ostatni raz byłam u spowiedzi chyba jako szesnastolatka. Zdaje mi się, że czasem spowiadam się Bogu, przyznając się przed sobą do różnych małości. Dziś o możliwości spowiedzi w konfesjonale myślę dość spokojnie, choć na razie nie odczuwam takiej potrzeby.

Patrzę na prymulkę w doniczce. To od Pawła. Był tu dziś.

Od rana pada śnieg. Dorośli ciągną swoje dzieci na sankach. A one, być może, będą to pamiętać przez całe życie, tak jak ja.

Wagaruję. Chyba wreszcie? Od rana sobie czytam, na zmianę wspomnienia Junga i *Stado* Whartona. Słucham muzyki.

Czekając, aż ugotuje się jajko na miękko, zamiast popędzić i posłać łóżko albo zrobić coś równie pożytecznego, stanęłam przy oknie w kuchni i patrzyłam na padający śnieg. Niektóre płatki wyglądały jak ptasie piórka.

Przypomniały mi się wnikliwe obserwacje w dzieciństwie, oglądanie każdej misternej kreseczki płatka na szybie, podkładanie pod niego ciepłej ręki i przyglądanie się, jak śnieżynka kurczy się, a potem znika... Dostrzegać śnieżynki w padającym śniegu...

8. 02. 94

Kilka razy już zauważyłam, że trudno mi pamiętać złe rzeczy, na przykład świństwa, które mi

zrobiono. Czasem – jeszcze z Krzychem – nawet „zadawałam sobie” zapamiętanie czegoś paskudnego o nim, żeby to potem wykorzystać w jakiejś kłótni. I nie potrafiłam! Nie pamiętałam złego. Gdy to sobie uświadomiłam, pomyślałam, że to taka ładna cecha mojej pamięci, a może nawet charakteru: przechowywanie chwil raczej dobrych niż złych.

Spotkałam jednak mniej zachwycające, za to bardziej prawdopodobne wyjaśnienie tej sprawy. W *Syndromie Piotrusia Pana* przeczytałam: *Z trudnością mogła jednak podać mi przejawy szczególnej niesubordynacji i nieodpowiedzialności S. Zdawało się, że kiedy ma przywołać z pamięci dokładne szczegóły, jej umysł staje się białą kartą. (Ze mną bywa, bywało? – właśnie tak!). Pojąłem, że wysoki S. sprawiał jej ból do tego stopnia, że odgrodziła swoje uczucia ochronną barierą. Bariera ta chroniła ją przed poczuciem klęski, ale też czyniła mniej wyczuloną na konieczność zmian.*

Otóż to. Gdybym lepiej pamiętała wyrządzone mi zło, nie mogłabym tak długo tkwić w tym układzie. Teraz podobny problem mam z Jackiem.

Kocham Noemi i Jacka i jestem gotowa zrobić wiele, żeby było im dobrze w życiu. Ale... Czy ja wiem, czego im trzeba naprawdę, żeby byli szczęśliwi?

Boże, bądź Ojcem dla nas wszystkich i bądź wola Twoja.